

## **Pejzaż nędzy**

1. Rozmowa się urwała. Judym patrzył spod oka na skrawek asfaltu zabłąkany w tym miejscu i leżący tam wśród brył kamiennych jak gdyby wskutek czyjś rozrządzenia, na drzewko wyrastające wprost z asfaltowej skorupy. W sąsiedztwie pniaka leżała krata ścieku podtrzymująca przeróżne odpadki. Słońce dogrzewało. W cieniu wysokiego muru fabryki bawiło się stado dzieci. Jedne z nich były mizerne tak bardzo, że dawała się widzieć w tych przezroczytych twarzach sieć żył błękitnych; inne opaliły na słońcu nie tylko swe buziaki, ręce i szyje, ale także skórę kolan wyłazających obszernymi dziurami. Pośród wierzgającej gromady pełzało jakieś małe, rachityczne, ze sromotnie krzywymi nogami i ze śladami ospy na gołych, mizernih gnatach. Cała ta banda sprawiała wrażenie śmieci z podwórza czy zeschniętych liści, które wiatr miota z miejsca na miejsce. Rej wodził między całą hałasującą czeredą chłopak ośmioletni, wysmukły, bez czapki, ubrany w ojcowskie ineksprymable i matczyne trzewiki. Kawaler ten darł się wniebogłose, do czego uprawomocniła go komenda nad resztą w prowadzeniu jakiejś batalii. (...)

Te dzieci biegające w ciasnym zaułku, ogrodzonym przez nagie i niezmierne mury, przypominały, nie wiadomo czemu, stado wiewiórek zamkniętych w klatce. Gwałtowne ich ruchy, nieustanne skoki domagały się szerokiego placu, drzew, trawy, wody... (...)

2. Wraz z tym spojrzeniem - przyszli mu na myśl krewni. Czuł konieczność odwiedzenia ich nie tylko z obowiązku, ale także dla samego widoku swoich twarzy. Wyszedł z hotelu i posuwając się noga za nogą zginał w tłumie, który przepływał chodnikiem ulicy Marszałkowskiej. Cieszyły go bruki drewniane, rozrost drzewek, które już pewien cień rzucały, nowe domy powstałe na miejscu dawnych ruder.

Minawszy ogród i plac za Żelazną Bramą, był u siebie i przywitał najściślejszą ojczyznę swoją. Wąskimi przejściami, pośród kramów, straganów i sklepików wszedł na Krochmalną. Żar słoneczny zalewał ten rynsztok w kształcie ulicy. Z wąskiej szyi między Ciepłą i placem wydzieliał się fetor jak z cmentarza. Po dawnemu roilo się tam mrowisko żydowskie. Jak dawniej siedziała na trotuarze stara, schorzała Żydówka sprzedająca gotowany bób, fasolę, groch i ziarna dyni. Tu i ówdzie włóczyli się roznosiciele wody sodowej z naczyniami u boku i szklankami w rękach. Sam widok takiej szklanki oblepionej zaschniętym syropem, którą brudny nędzarz trzyma w ręce, mógł wywołać torsje. Jedna z roznosicielek wody stała pod murem. Była prawie do naga obdarta. Twarz miała żółkłą i martwą. Czekwała w słońcu, to ludzie tamtędy idący najbardziej mogli być spragnieni. W ręce trzymała dwie butelki z czerwoną cieczą, prawdopodobnie z jakimś sokiem. Siwe jej wargi coś szeptały. Może słowa zachęty do picia, może imię Jego, Adonai, który nie może być przez śmiertelnych nazywany, może w nędzy i brudzie jak robak wylęgte - przekleństwo na słońce i na życie...

Z prawej i lewej strony stały otworem sklepiki, instytucje kończące się niedaleko od proga - jak szuflady wyklejone papierem. Na drewnianych półkach leżało w takim magazynie za jakie trzy ruble papierosów, a bliżej drzwi nęciły przechodnia gotowane jaja, wędzone śledzie, czekolada w tabliczkach i w ponętnej formie cukierków, krajanki sera, biała marchew, czosnek, cebula, ciastka, rzodkiew, groch w strączkach, kubły z kosztownymi serdelkami i słoje z sokiem malinowym do wody.

W każdym z takich sklepów czerniała na podłodze kupa błota, która nawet w upale zachowuje właściwą jej przyjemną wilgotność. Po tym gnoju pełzały dzieci okryte brudnymi łachmany i same brudne nad wyraz. Każda taka jama była siedliskiem kilku osób, które pędziły tam żywot na szwargotaniu i próżniactwie. W głębi siedział zazwyczaj jakiś ojciec rodziny; zielonkawy melancholik, który od świtu do nocy nie rusza się z miejsca i patrząc w ulicę trawi czas na marzeniu o szwindlach.

O krok dalej rozwarte okna dawały widzieć wnętrza pracowni, gdzie pod niskimi sufitami skracały swój żywot schyleni mężczyźni albo zgięte kobiety. Tu widać było warsztat szewski, ciemną pieczarę, z której wywalał się smród namacalny, a zaraz obok fabrykę peruk, jakich używają

pobożne Żydówki. Było takich zakładów fryzjerskich kilkanaście z rzędu. Blade, żółte, obumarłe dziewczyny, same nie czesane ani myte, pracowicie rozdzielały kłaki... Z dziedzińców, drzwi, nawet ze starych dachów krytych blachą lub cegłą, gdzie szeregiem tkwiły okna facjatek, wychylały się twarze chore, chude, długonose, zielone, moregowate i patrzyły oczy krwawe, ciekące albo zobojętniale na wszystko w niedoli, oczy, które w smutku wiecznym śnią o śmierci. (...)

3. Wysunąwszy się z tego domu, doktor szedł ulicami w stronę przedmieścia ze zwieszoną głową, machinalnie szukając oczyma fabryki cygar. (...)

Proszek tabaki wdzierał się tam do nosa, gardła, płuc przychodnia i podwajał szybkość oddechu. Na pierwszym piętrze ukazała się duża sala, formalnie wypełniona przez tłum kobiet złożony z jakich stu osób, pochylonych nad długimi a wąskimi stołami. Kobiety te, rozebrane w sposób jak najbardziej niepretensjonalny, zwijały cygara prędkimi ruchami, które na pierwszy rzut oka czyniły wrażenie jakichś kurczów bolesnych. Jedne z nich schylały głowy i trzęsły ramionami jak kucharki wałkujące ciasto. Te zajęte były zwijaniem grubo siekanego tytoniu w liście, które poprzednio zostały szybko a misternie przykrojone. Inne kładły zwinięte cygara w prasy drewniane. Duszące powietrze, pełne smrodu ciał pracujących w upale, w miejscu niskim i ciasnym, przeładowane pyłem starego tytoniu, zdawało się rozdzierać tkanki, żarło gardziel i oczy. Za pierwszą salą widać było drugą, daleko obszerniejszą, gdzie w ten sam sposób pracowało co najmniej trzysta kobiet. Przewodnik nie pozwolił Judymowi zatrzymać się w tym miejscu i poprowadził go dalej przez wąskie schody i sionki, obok maszyn suszących liście, obok młyna mielącego tabakę i siczarki krajającej różne rodzaje tytoniu - do izb, gdzie pakowano towar gotowy. Wrzała tam szalona praca. Przechodząc Judym zauważył dziewczynę, która paczki cygar oklejała banderolą. Szybkość ruchów jej rąk wprawiła go w zdumienie. Zdawało mu się, że robotnica wyciąga ze stołu nieprzerwaną tasiemkę białą i mota ją sobie na palce. Z rąk leciały do kosza pod stołem gotowe paczki tak szybko, jakby je wyrzucała maszyna. Ażeby zrozumieć sens jej czynności, trzeba było wpatrywać się usilnie i badać, gdzie jest początek oklejania każdej torebki.

Za tą salą otwierała się izba przyćmiona, gdzie, według słów przewodnika, pracowała bratowa Judyma. Okna tej izby zastawione były siatkami z drutu, których gęste oka, przysypane rudym prochem miejscowym, puszczały mało światła, ale natomiast powstrzymywały od emigracji miazmaty wewnętrzne. Leżały tam w kątach saszki grubo krajanego tytoniu. W środku sali było kilka warsztatów, na których towar pakowano. Z każdego stołu wybiegała zakrzywiona rurka, a z niej strzelał poziomo z sykiem długi język płonącego gazu. Dokoła każdego stołu zajęte były cztery osoby. Przy pierwszym Judym zobaczył swoją bratową. Miejsce jej było w rogu, tuż obok płomyka gazowego. Z drugiej strony stał, a raczej kołysał się na nogach, wysoki człowiek o twarzy i cerze trupa. Dalej, w drugim końcu, siedział stary Żyd w czapce zsuniętej na oczy tak nisko, że widać było tylko jego długą brodę i zakłęsłe usta. W sąsiedztwie Judymowej po lewej, stronie stała dziewczyna, która nieustannie brała z kupy garść grubego tytoniu, rzucała ją w szalę, a odważywszy awierć funta, podawała człowiekowi kołyszącemu się na nogach. Doktor wstrzymał się przy drzwiach i stał tam długo, usiłując znowu zrozumieć manipulację tej czwórki. Był to widok ludzi miotających się jak gdyby w drgawkach, w konwulsyjnych rzutach, a jednak pełen nieprzerwanej symetrii, metody i rytmu. Po stolnicy, przy której te osoby były zatrudnione, między Judymową a jej sąsiadem przebiegały ciągle dwa blaszane naczynia, z jednej strony rozszerzone w kształcie czworokątnych kielichów, z drugiej równoległościennie. Formy te były wewnątrz puste. Judymowa w każdej chwili chwyciła jedną z nich w lewą rękę, zwracała szerokim otworem ku dołowi i opierała na kolanie. Prawą ręką ujmowała ze stosu kartkę z wydrukowaną etykietą fabryki, otaczała ją ćwiartką koniec blaszanej formy, zawijała rogi papieru i kleiła je lakiem, który błyskawicznym ruchem topiła w płomyku gazowym. Ledwie zawinięty róg przytknęła palcem, całą formę brał z jej rąk sąsiad, mężczyzna, podczas gdy ona odbierała stojącą przed nim, dla wykonania tej samej pracy. Mężczyzna zwracał blachę otworem do góry. Koniec jej wyższy, oblepiony etykietą, zanurzał w stosowne wyżłobienie stolnicy. Przyjmował z rąk dziewczyny ważącą tytoń szalę. Wsypywał ćwierć funta w otwór naczynia i tłokiem odpowiadającym kształtowi blaszanki ubijał zawartość. Dokonawszy tego przez dwa rytmiczne schylenia ciała, wyjmował formę z pełnej już tytoniu papierowej torebki i sięgał po nową, którą w tym czasie Judymowa oblepiła. Trzeci

pracownik paczkę zostawioną wydobywał z otworu i zaklejał z drugiej strony, maczając lak w ogniu, na wzór towarzyszki z przeciwnego końca warsztatu. (...)

W głębi izby stał stół zupełnie podobny do pierwszego z brzegu, a obok płomyka, robiła kobieta w czerwonej chustce na głowie. Szmata zupełnie okrywała jej włosy. Widać było spod niej duże, wypukłe czoło. Żyłki skroni i szyi były nabrzmiące. Zamknięte oczy po każdym małym ruchu głowy otwierały się, gdy trzeba było przykleić lakiem rożek papieru. Wtedy te oczy spoglądając na płomyk gazowy błyskały jednostajnie. Twarz kobiety była wyciągnięta a ziemista jak wszystkie w tej fabryce. Na spalonych, brzydkich, żydowskich wargach co pewien czas lkał milczący uśmiech, w którym zapewne skupiło się i w który z musu zwyrodniało westchnienie zakłęślej, wiecznie łaknącej powietrza, suchotniczej piersi. Błysk pracowitych oczu i ten uśmiech wraz z całą czynnością przypominały szalony ruch koła maszyny, na którego obwodzie coś w pewnym miejscu migota jak płomyczek świecący.

### Polecenia do fragmentów powieści

1. Dokonaj umiejscowienia fragmentów w akcji powieści.
2. Na podstawie fragmentu 1. Wypisz określenia charakteryzujące stan zdrowia i wygląd dzieci nędzarzy.
3. Jak wygląda miejsce zabaw dzieci nędzarzy? Wypisz z tekstu określenia charakteryzujące to miejsce.
4. Wskaż w tekście porównania określające dzieci nędzarzy.
5. Scharakteryzuj dzieci nędzarzy. Wyciągnij wnioski z wynotowanych z fragmentów określeń.
6. Na podstawie wyglądu i zachowania roznosicieli wody sodowej, przedstaw warunki higieny. (fragment 2.)
7. Na podstawie fragmentu 2. wypisz naturalistyczne określenia charakteryzujące sklepy i warsztaty znajdujące się w najuboższej dzielnicy.
8. Jak wyglądają ludzie pracujący w sklepach i warsztatach? Wypisz określenia z fragmentu 2.
9. W jakich warunkach pracują ludzie w fabryce cygar? Zwracając uwagę na sposób wykonywania pracy, charakterystykę pomieszczeń, higienę i wygląd robotników, przedstaw w 10 punktach warunki pracy nędzarzy w fabryce.

### **Recepty na lepszy świat**

(...) Medycyna dzisiejsza - ciągnął Judym - jako fakt bierze powód choroby i leczy ją samą, bynajmniej nie usiłując zwalczać przyczyn. Ciągle mówię o leczeniu nędzarzy... (...)

- Ja tu nie mówię o nadużyciach ordynarnych, o praktykach przeróżnych lekarzy kolejowych, fabrycznych itd., lecz zawsze o położeniu higieny. Mówię o tym, że gdy człowiek pracujący w fabryce, gdzie po całych dniach płukał sztaby żelaza w kwasie siarczanym, w wodzie i wapnie gaszonym, dostaje zgorzeli płuc i uda się do szpitala, zostanie wykurowany jako tako, to ów człowiek wraca do tegoż zajęcia. Jeżeli pracownik zajęty w cukrowni przy wyrobie superfosfatu przez oblewanie węgla kostnego kwasem siarczanym, gdzie całe wnętrze szopy napełnia się parą kwasu siarkowego i gdzie gazy po spaleniu pikrynianu potasu wdychane wywołują zgorzel płuc - ulegnie tej chorobie, to po wypisaniu go ze szpitala wraca do swojej szopy. W lodowniach browarów... pleuritis purulenta...

- To rzecz jakiejś opieki nad wychodzącym ze szpitala, a bynajmniej nie lekarza... - rzekł gospodarz.

- Lekarza obowiązek... - właśnie wykurować. Gdyby zaczął szukać miejsc odpowiednich dla swoich pacjentów, byłby może dzielnym filantropem, ale z wszelką pewnością złym lekarzem... - wołał ktoś inny.

- Zawsze „opieka”, zawsze „filantrop” - bronił się Judym. - Nie jest moim zamiarem żądać, ażeby lekarz szukał miejsca dla swych uzdrowionych pacjentów. Stan lekarski ma obowiązek, ma nawet prawo zakazać w imieniu umiejętności, ażeby chory wracał do źródła zguby swego zdrowia.

- Dobrze sobie! Znakomita idylla! - Co też kolega!... - słychać było ze stron wszystkich.

- To właśnie, coście tu szanowni koledzy swoimi protestami stwierdzili, nazywam lekceważeniem i zgoła pomijaniem przyczyn choroby, kiedy idzie o ludzi biednych. My lekarze mamy wszelką władzę niszczenia suterren, uzdrowotnienia fabryk, mieszkań plugawych, przetrząśnięcia wszelkich krakowskich Kazimierzów, lubelskich dzielnic żydowskich. W naszej to jest mocy. Gdybyśmy tylko chcieli korzystać z przyrodzonych praw stanu, musiałyby nam być posłuszna zarówno ciemnota, jak siła pieniędzy...

#### Polecenia do fragmentów

1. Dokonaj umiejscowienia fragmentu w akcji powieści.
2. Jakie zjawisko najbardziej niepokoi Judyma? Odpowiedź uzasadnij.
3. Jakim hasłem powinien się kierować w swojej pracy każdy lekarz?
4. Wyjaśnij, co oznaczają słowa *filantrop* lub *filantropia*.
5. Wskaż wyraz, którym lekarze określają projekt Judyma.

#### **Mentalność bogatych**

1. Kiedy pierwszy raz Judym zapytał mimochodem plenipotentą, czy nie dałoby się przenieść czworaków na miejsce bardziej suche, ten zaczął mu się przypatrywać z uwagą, a w talki sposób, jakby doktor ni z tego, ni z owego w towarzystwie osób starszych i godnych szacunku zatańczył kankana albo wyrzucił koziołka. Judym nie stracił przytomności i nie spuścił oczu. Czekał jeszcze chwilę, czy mu wszechwładny agronom nie odpowie, a gdy się niczego nie doczekał, rzekł z całą delikatnością:

- Tam, w tych czworakach panuje malaria: Przyczyniają się do tego w znacznej mierze... przyczyniają się do tego... zaprowadzone sadzawki.

Plenipotentowi lica i oczy krwią zabiegły. Sadzawki były to jego ulubienice. Sam je wymyślił, zarybił i osiągnął z nich dla majątku znaczny dochód. Ryby w ciągu całego roku szły na sprzedaż i do kuchni zakładu leczniczego, czyniąc już dużą pozycję, a na przyszłość cała sprawa, prowadzona umiejętnie, miała stanąć jeszcze lepiej: Prócz tego łód, szlam itd.

Toteż wielkorządca i teraz nic nie rzekł, tylko błysnął oczami, a później przeszedł na inny temat w sposób zabójczo grzeczny:

Taki wstęp nie zwiastował zgody ani jakiegokolwiek kompromisu, Trzeba było wywierać nacisk. Do pani dziedziczki w kwestii tak czysto folwarcznej droga prowadziła jedynie via plenipotent. Panny załamywały białe dłonie, ale nic poradzić nie mogły.

Jesień nadchodziła.

Po dżdżystych nocach stało nad łąkami i dolnym parkiem jakby błoto w przestworze. Gdy nim kto długo oddychał, uczuwał ból głowy i jakiś pulsujący szelest w żyłach. Wtedy również Judym zauważył, że i w zakładzie około stawów było powietrze jeżeli nie takie samo, to bardzo siostrzane. Liście zlatujące z olbrzymich grabów i wierzb sypały się w stojące baseny wody i tam w niej gniły. Na powierzchni stawów pleniła się masa wodorostów, które gdy było wyrwać i rzucić na brzegu, szerzyły woń cuchnącą. Kuracjusze przybywający do Cisów dla pozbycia się malarii nie tracili jej, a były nawet dwa wypadki febry zdobytej. Kiedy Judym zakomunikował te swoje obserwacje doktorowi Węglichowskiemu, ten zmierzył go takim samym wzrokiem jak plenipotent i żartobliwym, a jednak cierpką esencją zaprawionym tonem oświadczył, że to nie jest wcale ani febra, ani tym mniej - malaria.

- Główna rzecz - dodał - nie należy o tym wcale mówić...

Cmoknął go przy tym w czoło i uderzył bratnią, przyjacielską dłonią po ramieniu.

Judym zdziwił się, ale... nie mówił nikomu.

We wrześniu izby szpitalne pełne były dzieci większych i mniejszych. Ociężałe, mrukowate, senne istoty siedziały i leżały, gdzie się dało. W izbach panował zaduch i jakaś nieopisana nuda. (...)

2. Tak stały rzeczy, gdy pewnego dnia dr Judym otrzymał bilet od pani Niewadzkiej, w którym wyrażona była prośba, żeby się niezwłocznie pofatygował do pałacu. Skoro się tam udał, wprowadzono go do małej alkowy, gdzie stara dama zwykle przebywała. Były tam obydwie wnuczki i kilka osób z rodziny dalszej, które zazwyczaj bawiły w Cisach przez sezon. Judym był już

w tym pokoju kilka razy, ale zgromadzenie tylu osób odebrało mu pewność siebie. Pani Niewadzka wyciągnęła doń rękę i kazała usiąść obok siebie.

- Prosiłam cię, panie doktorze, na naradę.

- Służę z gotowością.

- Co do tych bębnow folwarcznych. Nie ma sposobu, prawda?

- Nie ma żadnego.

- Worszewicz ani słuchać podobno nie chce pańskich projektów przeniesienia Cisów na inne miejsce, na przykład w Góry Świętokrzyskie?

- Nie chce nawet paru czworaków posunąć wyżej na tutejszą, cisowską górę, a cóż dopiero mówić o Górach Świętokrzyskich... - rzekł doktor w tym samym tonie.

- Hm... To źle! Bo tutaj Joasia proponowała inną kombinację.

- Panna Podborska?

- Tak, tak... Chciała oddać swój pokój w skrzydle na pomieszczenie malaryków, żeby od nich szpital uwolnić. Ona tam zresztą ma jakieś swoje mrzonki, na czym się nie znam. Ale że to jest przecie jasne jak płomyk i czułe jak powój, więc nie mogę temu nie ulegać. Samo chciało w pasażyku, uważasz, doktorze, obok stancyjki gospodyni... Otóż uradziłyśmy tu, żeby jej na urodziny, w listopadzie, zrobić siurpryzę. Jest w lewej oficynie od południa stara piekarnia, całkiem dziś pusta. Tam jest izba ogromna, sucha i widna. Prosiłam pana Worszewicza, żeby kazał stamtąd wynieść wszelkie rupiecie, obelić ściany, wyrestaurować piec, opatrzyć okna... Może byś zgodził się, panie doktorze, tam te dzieci przetranslokować! Niechże się to w zimie tam grzeje i ratuje... To dla niej, dla panny Podborskiej... na wiązanie...

- Czyżbym się zgodził!... Ależ...

- A, no to chwała Bogu.

- Te dzieci kuracji nie potrzebują, tylko suchego mieszkania tu, na górze. Gdzież jest panna Joanna?

- Nie, nie, jej mówić nie trzeba! Dopiero w listopadzie otworzy się tę salę malaryjną i odda jej pontyfikalnie. Uważasz? Ona tam będzie sobie z tymi brudasami radziła. To jej rzecz... Pod pańskim zresztą dozorem lekarskim... - Ach, tak... - szepnął Judym.

Uczucie niesmaku, a nawet odrazy przewinęło się w mroku jego duszy.

#### Polecenia do fragmentów

1. W oparciu o fragment 1. powiedz, co zaniepokoiło Judyma w klimacie Cisowskim.

2. Z fragmentu 1. wypisz cytaty, które określają reakcje zarządcy Krzywosąda i doktora Węgliczowskiego na obserwacje Judyma.

3. Odwołując się do odpowiedzi – cytatów z polecenia 2 sformułuj wnioski.

4. Jak sądzisz, dlaczego Judym poczuł niesmak, a nawet odrazę?